

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Różyczka i bratek.

POWIASTKA DLA DZIECI.

(Ciąg dalszy.)

R. z gdy dziatki wieczorem
Bawiły się pod borem.
Rwąc dla swojej zabawki
Zioła, kwiatki i trawki,
Wychodzi z lasu głębi,
Wzrok w nich topiąc jastrzębi,
Czarownica straszliwa
I tak dzieci przyzywa:

— „Pójdźcie za mną, o dziatki,
Tam w głąb lasu, do chatki;
Gdzie zabawki znajdziecie
Jakich niema na świecie!“
Lecz iść dziatki nie chciały,
Bo ich szczęścia świat cały
To był ojciec i matka,
I rodzinna ich chatka.

Czarownica więc wściekła
Takie słowa im rzekła:

— „Choć iść za mną nie chcecie,
Na was sposób mam przecie:
Zaknę was słowem zdrady
W dwa błyszczące owady;
I dopóty będziecie
Błądzić w zimie, czy w lecie,
Pośród śniegów czy kwiatów,
Wśród nieznanych wam światów,
Aż gdy już zapomnicie

Poprzednie wasze tycie,
Natenczas zamieszkacie
W głębi lasu, w mej chacie!“

Niebo obłok skrył szary,
Wiedźma zaczęła czary;
Zbladła Bratka twarzyczka
Płacze smutno Różyczka.
Zaklęcia słowo leci,
I zmienione już dzieci
Przez to słowo szatańskie
W robaczki świętojańskie.

III,

Między kłosa i liście,
Kwiatki lśniące wzorzyście,
Kędy trawa wysoka.
Ledwie widne dla oka
W gęstwi ukryte całe
Dwa robaczki mkną małe:
To braciszek z siostrzyczką,
Bratek z dobrą Różyczką,
Przez złą wiedźmę zaklęte.

.....
A wokół niepojęte
Cuda, cuda i dziwy!
Raj poprostu prawdziwy!
Dokoła widzą dzieci.
Ot, obok pszczołka leci,
Brzęcząc, nakształt warkotki,
Zbiera z kwiatków miód słodki;
Tam ptaszyna znów z drzewa

Prześliczne piosnki śpiewa,
Gardziółko chyli małe
Panu Bogu na chwałę.

Ale chociaż wokół
Tak rozkosznie, wesoło,
Dzieciom nie z tej radości:
Smutek w serduszkach gości,
Zabawa ich nie mami,
Tesknia za rodzicami.
Więc, wśród gęstych traw fall
Idą dalej, a dalej,
W ukochane swe strony,
Do mateczki rodzonej,
Pełne szczerzej prostoty
Do mateczki swej złotej...
Ot, już widać podwórze,
Widać sosny już duże,
Rozrośnięte — dokoła
W górę wznoszą swe czoła
W niebo jasne, ku Bogu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Z życia Jasia

(Ciąg dalszy.)

Usiadłszy na ławce, pan Kaliński niecierpliwie rozerwał kopertę i wydobyl z niej list, pisany ręką babuni Jasia i parę arkuszy papieru, zapisanego rozmaitemi notatkami.

— List od babuni! List od babuni! — wołał uszczęśliwiony Jasio, poznawszy pismo babci. — A co tam babunia pisze, proszę pana? Czy babunia zdrowa? A Burek? co się też z Burkiem dzieje? Ciekawym, czy mnie pozna, gdy powrócimy do kraju?

Wszystkie te pytania Jasio wypowiedział jednym tchem, nie czekając na odpowiedź pana Kalińskiego.

— Uspokój-że się, mój chłopcze, bo nawet nie rozumiem tego, co będę czytał.

Jasio usiadł spokojnie na ławce, a pan Kaliński zajął się czytaniem listu. Lecz w miarę czytania pogodna twarz jego zaszepiała się coraz bardziej.

Gdy skończył, rękę z listem wsparł na kolana i zamyślił się głęboko.

— Czy dziadzo lub babunia, broń Boże, nie chorzy? — zapytał zaniepokojony Jasio.

Pan Kaliński ocknął się z zadumy.

— Nie moje dziecko — odpowiedział — zdrowi są, ale donoszą mi o czymś, co mnie wielce zaniepokoiło i zmartwiło.. Ach co to za niegodziwiec ten Kincel.

— Kincel! — zawołał z przestraczem Jasio.

— O, mój złoty panie, niech mnie pan gdzie ukryje... ja go się tak boję.. czy on tu jest?

I biedny Jasio przytulił się mocno do swego opiekuna.

— Nie masz się czego obawiać — rzekł pan Kaliński, gładząc jasną główkę chłopca. — Kincel tu nie ma, ale za to nie przestaje myśleć o przywłaszczeniu sobie pieniędzy, przynależnych twemu ojcu. Gdyby ojciec twój powrócił, cała sprawa wyjaśniłaby się natychmiast, ale tak, to doprawdy, nie wiem, jak się to skończy?

Wzmianka o nieobecności ojca wzbudziła smutek w sercu chłopca, a w oczach jego zabłyśły łzy.

— Ach, Boże mój — szepnął — żeby też tatuś wrócił!

Więcej nie mógł mówić, bo łzy dusiły go i tamowały mu głos w gardle, a płakać nie chciał, aby nie martwić swego opiekuna.

Pan Kaliński, nie chcąc pocieszaniem roztkliwiać chłopca, mówił o dalszej treści listu babci.

— Pisze mi babunia — mówił — że odebrała za pośrednictwem biura, gdzie twój ojciec pracował poprzednio, zawiadomienie, a raczej wezwanie od bankiera z Berlina, o złożenie dowodów i papierów, a nadewszystko upoważnienia od pana Drzewińskiego, w celu odebrania przynależnej mu sumy. Bankier objaśnia, że jeśli by pan Drzewiński nie mógł sam przybyć do Berlina, może przez jaką osobę zaufaną przysłać dowody i upoważnienie; w końcu zaś dodaje, że był u niego nawet pan Kincel, który żądał wydania mu sumy pieniężnej, przynależnej panu Drzewińskiemu.

— Ta niegodziwość Kincela oburza mnie — kończył pan Kaliński z gniewem — i zmusza do ostatecznego porozumienia się z bankierem. Wreszcie dziadkowie zapytują mnie, co to wszystko znaczy, gdyż nie wiedzą ani o wygranej, ani o żadnym Kincelu.

Muszę więc natychmiast napisać do nich.

Jasio, słuchając z ciekawością mowy swego opiekuna, zapomniał o poprzednim swoim zmar-

twieniu. Myśl jego zwróciła się w innym kierunku: do dziadków i do starego dworku, w którym mieszkali.

Nazajutrz po śniadaniu pan Kaliński zbliżył się do okna, aby odetchnąć nieco świeżym powietrzem. Wtem usłyszał głos Jasia, rozmawiającego z synem gospodarza, owym pastuszkim, z którym lubił się bawić i razem biegać po górach. Chłopiec nauczył się niezłe od Jasia po polsku, Jaś go nawet czytać uczył; chłopiec był bardzo pojętny i nauka nie szła mu trudno.

— Jak panicz pojedzie, to ja wszystko to zapomnę, czegom się przy paniezu nauczył — mówił ze smutkiem.

— To prawda potwierdził Jasio — ale cóż na to poradzić?

— Oj, źle, źle! — szepnął z westchnieniem pastuszek.

— Ja ci zostawię książkę, z której się czytać uczyles i jeszcze jedną, [w której są] bardzo ładne i ciekawe powiastki i opisy — pocieszał go Jasio.

— Dziękuję paniczowi — odpowiedział uradowany chłopiec.

— Wiesz co? — odezwał się po chwili milczenia Jasio — jeśliby mój opiekun pozwolił, to jabym ci więcej książek przysłał z domu.

— Panicz-by to zrobił? zawołał z radością chłopiec.

— Zrobiłbym to chętnie, ale pierwej muszę prosić o pozwolenie pana Kalińskiego.

I podnosząc się z ławki, Jasio pobiegł do domu.

— Proszę pana — zaczął już od progu — czy pan pozwoli, bo ja chciałbym...

— Wiem, wiem, o co ci chodzi — przerwał mu pan Kaliński — i zgadzam się chętnie na to, aby zadość uczynić twojej prośbie. Mimowolnie, stojąc w oknie, słyszałem waszą rozmowę i pochwalam twój zamiar.

Jaś ucieszył się, otrzymawszy tak łatwo zezwolenie swego opiekuna i powrócił czemprejdzem podzielić się tą dobrą wiadomością ze swoim młodym towarzyszem. Radość Jóźka nie miała granic. Nie wiedział w jaki sposób okazać swą wdzięczność panu Kalińskiemu i Jasiowi.

— Książki będziemy ci przysyłać — rzekł pan Kaliński — ale pamiętaj, żebyś z tego powodu nie zaniedbywał swoich codziennych obowiązków.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dzieci, Zuchelek i Wilczysko.

(Ciąg dalszy.)

Teraz już co rano ojciec przeprowadzał chłopca przez las, a potem pokazywał mu drogę równiną, widoczną, prosto do szkoły. Psina kilka razy kusił się, żeby też odprowadzić swego przyjaciela, ale go Oglon zawrócił, wołając:

— Ruszaj żywo pilnować domu!

Zuchelek nie bardzo dowierzał, czy mu naprawdę tak rozkazuja, i jeszcze czas jakiś włókł się za nimi powoli. Dopiero, gdy Oglon podniósł z ziemi szyszkę i rzucił ją w kudły psa, to już widać było, że niema żadnych żartów. Smutny bardzo wracał Zuchelek do chaty, nie a nie nie rozumiejąc, po co ojciec wyprowadza syna z domu. Oglonek uczył się w szkole tak dobrze, że go nauczyciel stawiał wszystkim za przykład.

Gdy nastala zima, to jeszcze szaro było na niebie, a malec z tabliczką i książkami w towarzystwie ojca opuszczał chatę.

Kiedy ze szkoły powracał, to także bywał już mrok dobry — zwyczajnie jak to w zimie.

Ojciec czekał zwykle na chłopca pod lasem, ale raz, drugi, coś go zaszło, nie przyszedł i Oglonek musiał sam jeden wracać do domu. Serce biło mu wtedy tak mocno, że o mało nie wyskoczyło z piersi. Wytrzeszczał przestraszone oczy na prawo i na lewo, patrzył, czy aby Wilczysko z kąd nie wyskoczy. Z wielkiego strachu gotów byłby zapłakać, tylko, że to mogło zaszkodzić. Wilczysko usłyszałby niezawodnie i przyszedł! Żeby tam choć był Zuchelek przy nim, już by mu się zrobiło raźniej! Nieraz w takim razie chłopiec aż się zatrząsał ze strachu ogromnego, kiedy w boru posłyszał huk, łomot: to śnieg walił się z drzewa na ziemię, a Oglonek sobie myślał, że Wilczysko tak strasznie przez las pędzi, aż dudni.

Matka naswarzyła czasem na ojca, wyrzucała mu, że mały chłopczyzna sam jeden musi spory kęs drogi przechodzić w boru takim. Oglon zawsze jej jedno tylko odpowiadał.

— Przecie on się musi nauczyć chodzić po lesie w pojedynkę! Ja nie chcę tego, żeby mój syn był tchórzem podszyty!

Taki stary leśnik wiedział z pewnością, dlaczego to mówi; więc mu matka święcie wierzyła; myślała sobie, że tak być powinno i koniec.

Skoro tylko Oglonek spostrzegł, że ojciec coraz mniej dba o to przeprowadzanie go przez

las, tak się też potem nie bardzo do domu spieszył...

— Wcześniej, czy później, strach mię w boru nie minie, a im później tem lepiej! — myślał w duszy, kiedy wychodził ze szkoły.

Bardzo lubił ślizgawkę i od czasu do czasu, zaraz po nauce puszczał się z innymi chłopcami na łąki za wsią, gdzie na zamarzniętej rzece można było użyć doskonałej zabawy. Spróbował raz, i już potem chciało mu się więcej.

Coś w połowie stycznia, w jedną sobotę, chłopcy wysypali się całą gromadą ze szkoły i tak, jak byli, z książkami, tabliczkami, linijami, poszli używać ślizgawki na rzece. Leszło im do takiej godziny, że już księżyc wszedł i niebo się zaiskrzyło gwiazdami. Oglonek precz się ślizgał z nimi.

Była to zabawa, co się zowie! Jeden chłopiec wielki zbytnik, figlarz, wyprawiał takie sztuki tam na lodzie, że się inni za boki brali od śmiechu. Przykucał naprzykład, ślizgał się tak, wywijając rękoma, a potem nagle podnosił jedną nogę, umyślnie na wznak padał, i dopiero cała gromada pędzących tuż za nim na kupę. Uciechy było pełno, chociaż niejedyn dostał guza i stękał. To jeszcze nie wszystko, gdyż ten sam figlarz miał ze sobą małeńkie saneczki, na które siadało z dziesięciu chłopców i ci z wielkim pędem z górzystego brzegu rzeki zsuwali się na dół. Nazywało się to „z górki na pazurki“. Istotnie na pazurki upadali wszyscy — kiedy saneczki z brzegu zsunęły się na rzekę, następował wywrót, który rozrzucał swawolników na prawo i na lewo. O takich i innych jeszcze zbytkach miał co Oglonek opowiadać siostrze.

Ale nareszcie owej pamiętnej soboty zbytniecy spęstrzegli, że czas wielki wracać do domów, i jaki taki porzucał psikusy, a do wsi co tchu pędził.

Teraz Oglonek pomyślał, że mu zwykłą drogą daleko będzie wracać do chaty, jako go i nogi dobrze bolały od przydługiego ślizgania. Najlepsza droga była z łąki do wsi a ze wsi do boru, ale chłopiec chciał się dostać prosto z łąki do boru i tak też poszedł przez pola. Raz już przechodził on tę drogę z tatusem i myślał, że z łatwością trafi. Tymczasem kiedy wszedł w gęste zagajniki, zupełnie się nie mógł pomiarkować, którądy trzeba iść do chaty: ścieżka na prawo, ścieżka na lewo i trzecia prosto. Poszedł prosto, zabił — ścieżka była taka zajęcza, nie ludzka. Szedł, szedł a tu mróz coraz bardziej dokuczał. Chłopcu zdrętwiały ręce, nie czuł nawet, że u-

puścił linijkę i książkę, zeszyt jakiś. Oo, niedobrze! biedactwo, był już niedaleko chaty, ale czy on to wiedział? Minał chatę i poszedł dalej. Wtem zdało mu się, że słyszy jak wilki wyją.

— Za nie w świecie nie pójde przed siebie, bobym na pewno zginął.

(Dokończenie nastąpi.)



ŁAMIGŁÓWKI.

I.

1. Kto zaprowadził chrześcijaństwo w Polsce?

II.

Pierwsze i trzecie

W butelkach znajdziecie.

Całość: zakonnik jest dzielny

W dziejach Polski nieśmiertelny.

III.

Przez M — w lasach jestem znany;

Przez D — od ludzi wciągany.

Przez Cz — brat nasz ukochany,

Przez L — założyciel grodu,

Nawet polskiego narodu,

Co przybył do nas od wschodu.



Rozwiązanie łamigłówek z Nr. 9

I.

Drzwi.

II.

War — sza — wa.

III.

B r o d y

R a n o

O w a

D o

Z

Dobre rozwiązanie I łamigłówki z nr. 9 „Anioła Stróża“ nadesłali: Józef, Piotr i Władysław Radtke z Staregotargu.

Redaktor odpow. w zastępstwie Józef Zieliński w Gdańsku.

Drukiem i nakładem P. Pałędzkiej w Gdańsku.